

Zacęła nakrywać do stołu, przeszła do kuchni, a radca i Czajkowska rozmawiali o stosunkach rodzinnych, o zaszytych zmianach, aż wreszcie przyszedł Roman, który oddał zakupy Irenie w kuchni.

Przy herbacie, radca dość długo i nudnie opowiadał o stosunkach urzędowych w sądzie, o swej pracy; powiedział kilka wątpliwych dowcipów, z których sam się śmiał najbardziej, kilka anegdot o naczelnikach swoich, i bardzo zadowolony z wieczoru wyszedł.

Wracając do rynku rozmyślał z przyjemnością o Irenie. Nie wątpił, że zrobił korzystne na niej wrażenie. Zgodziła się pójść z nim do cukierni, rada była obietnicy książek, i dała dowód prawdziwie kobiecej przebiegłości i sprytu, odsuwając oznaczenie czasu wycieczki na Skalkę do osobistego porozumienia się. A porozumie się z nim naturalnie przy spotkaniu.

Jednak, ta Paulisia ma rację; no i te Warszawianki, to kokiety; przecież to rzecz wiadoma, że żaden mężczyzna nie ośmieli się zaproponować kobiecie schadzki bez jej milczącego upoważnienia.

Naturalnie i jemu do głowy by nigdy nie przyszło proponować cukiernię, Skalkę, gdyby nie jej spojrzenia, uśmiechy, które go zachęcały. O, te Warszawianki są jednak zepsute!

XII.

Na drugi dzień w południe, przyszedł Roman do domu i rozpromieniony zawołał z progu:

— Mamo, będę miał zajęcie, przypuszczam, wcale dobre.

— Chwała Bogu! jakże się cieszę! Irenko, słyszysz?

— Słyszę, słyszę, nie przeszkadzajcie sobie państwo, dowiem się później — odezwała się z drugiego pokoju.

— Mój Romciu siadaj i opowiedz mi szczegółowo, ty wiesz jak mię to interesuje.

Roman zapalił papierosa, usiadł wygodnie i zaczął z błyszczącymi oczyma:

— Przypadkowo spotkałem dzisiaj rano Stacha Szczukę, mama go nie zna, ale to bardzo porządny człowiek. Był korespondentem w fabryce Lilpopa w Warszawie.

— Szczuka? To bardzo dobra rodzina szlachecka. Słyszałam o Szczukach w Łowickiem. I on był korespondentem?

— Nie znam jego rodziny, wszystko jedno, szlachecka czy nieszlachecka, dość że on od czterech miesięcy siedzi tu, w tej dziurze, i napróżno szuka posady.

— O, tak, tu trudno — westchnęła matka.

— Rozgadaliśmy się i powzięliśmy plan założenia sklepu z wyrobami krajowymi.

— Alboż tu niema? — zdziwiła się.

— Przeszliśmy sumiennie wszystkie firmy sklepowe w przewodniku, pytaliśmy się kilku kupców poważniejszych, a ci zrobili na nas wielkie oczy, odpowiedzieli, że takiego sklepu nie było i nie ma, z wyjątkiem Bazaru krajowego.

— A widzisz Romciu, więc jest.

— Zaraz, mamo. Poszliśmy do Bazaru, ale niestety, nie zastaliśmy zarządzającego, przyjdzie dopiero o trzeciej... Sądząc z wyglądu, to jest sklep przedmiotów zbytkownych, a my mamy na myśli towary potrzeb codziennych. Perkale, barchany, wyroby bawełniane, sukna, pończochy i wogóle przedmioty pospolicie używane, ale wyrobu krajowego.

— Ach, Romanie, to takie ryzyko, sklep własny. Czy nie dogodniejby ci było mieć posadę spokojną, bezpieczną...

— Nie mogę, mamo, siedzieć tak z założeniami rękami. Poprosto chwytam mnie gorączka pracy. Co wysiedzę, czekając tak długo, aż póki...

— Nie znajdę stosownej protekcji — dokończyła Irena wchodząc.

— Otóż to właśnie — zaśmiał się Roman — brak protekcji wszystko tu uniemożliwia.

— A myślisz, że z tym sklepem dobrze ci pójdzie? — spytała matka.

— Przypuszczam. Głodny jestem mamo, i spieszę się.

— Zaraz podam obiad — wstała.

Przed godziną trzecią tegoż dnia, spotkał się Roman w umówionym miejscu ze Szczuką. Był to średniego wzrostu brunet, z twarzą poważną, surową z wyglądu, mimo stosunkowo młodego wieku, liczył bowiem trzydzieści pięć lat.

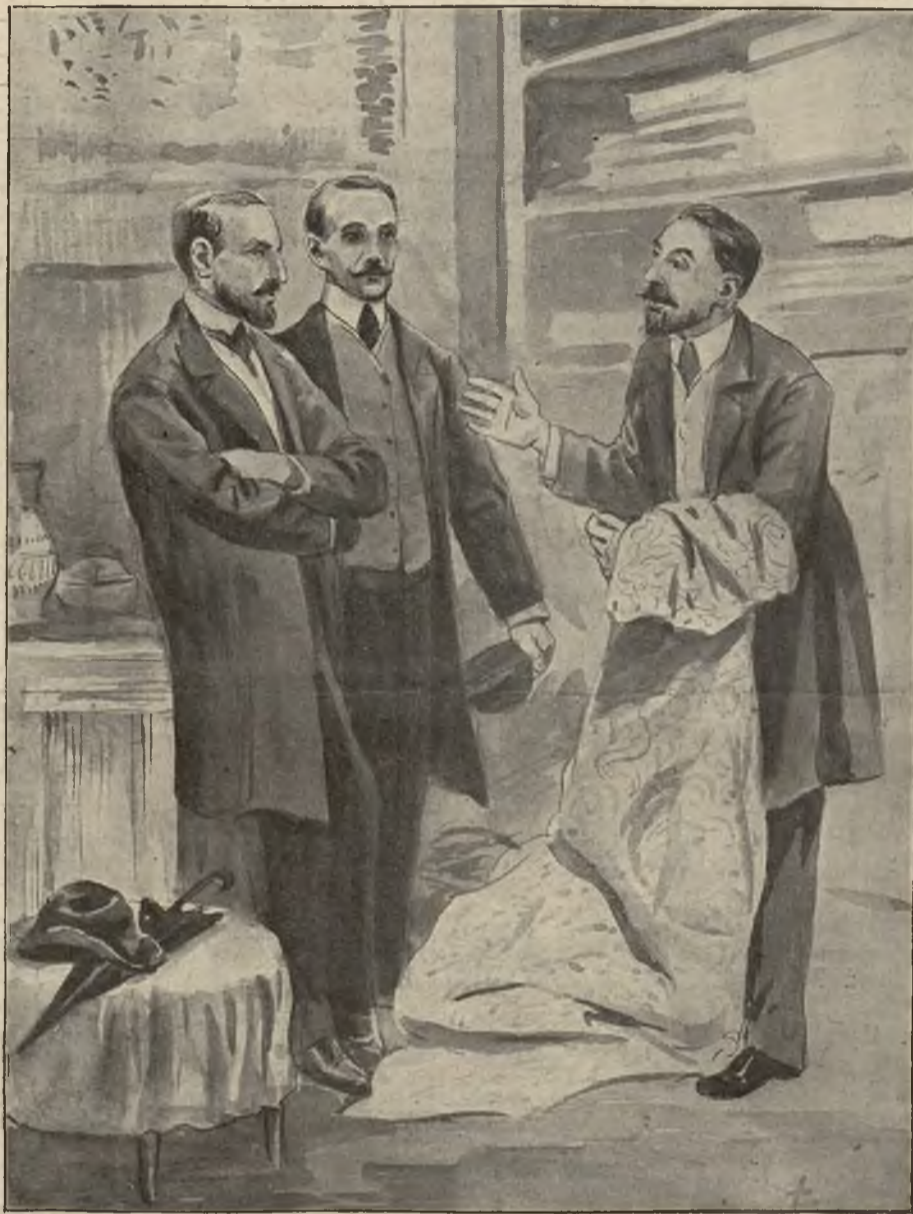
— Nie spóźniłem się — zawołał Roman patrząc na zegarek.

— Ani ja. Chodźmy do Bazaru.

Weszli do sklepu urządzonego prawie wykwinicie, z lustrzanymi szybami, zwierciadłami. Na politurowanych ladach, z wyjątkiem szczupłego miejsca dla kupujących, stały przeróżne drobnostki wyrobu drzewnego, terrakoty, fajansu. Na półkach zasklonych szaf leżały jakieś barwne materye, a ze szaragów zwisały się serdaki, gunie, pasy rozmaite, obok zakopańskich lasek, postoiów i pantofli białych sukiennych i kąpielowych.

Przywitał ich młody, bardzo ugrzeczny blondyn, w nienagannie skrojonym tużurku, pytając ze stereotypowym uśmiechem:

— Czem panom mogę służyć?



— To prawdziwa makata czysto jedwabna tkana złotem i srebrem

— Chcieliśmy obejrzeć sklep ten, towary, i zasięgnąć u pana pewnych informacji handlowych — odpowiedział Szczuka.

— Bardzo chętnie. Służę panom. Od czego zaczniemy?

— Zostawiamy to panu — odezwał się Roman.

— Panowie tutejsi?

— Nie, z Warszawy.

— O, bardzo mi przyjemnie. Gdyby nie przyjeźdźni, trzeba by zamknąć Bazar.

Szli w głąb sklepu.

— Tak mało kupują tutejsi? — spytał Szczuka.

— Tutejsi? — wzruszył ramionami lekceważąco. — Proszę pana łaskawego, kto tu ma kupować? Urzędnicy ledwie wyżyją ze swych pensji; szlachta bankrutuje, a mieszczaństwo lewie dyszą, i jeśli mają co kupić, idzie do żyda. O, tu warunki są ciężkie.

Roman i Szczuka zamienili porozumiewawcze spojrzenie, a Roman wskazując na barwną materyę, rzekł:

— Co za ładna sztuka!

— Tak, to nasza chluba. Właśnie tu przyprowadziłem panów — i wyjmując materyę: — To prawdziwa makata, czysto jedwabna tkana złotem

i srebrem, według wzorów staropolskich. Co?... nie piękna?... i tania, bardzo tania, tylko trzysta koron... — a widząc zdziwione miny: — proszę zobaczyć co za rysunek, jakie wykonanie! No, nic dziwnego, warsztaty zostają pod kierunkiem samej pani hrabiny... Czy mam zapakować i odesłać? — spojrzawszy pytająco po ich twarzach.

— Na takie zbytki nas nie stać — uśmiechnął się Roman — może pan zechce nam pokazać inne towary.

— I owszem — odparł z ukłonem — oto są kilimy — wskazał na oszkloną szafę — bardzo ładne, trwałe, różnych rozmiarów... mamy pasy lite i kilimowe, portyery.

— Przejdźmy do innego działu — zaproponował Szczuka.

— Chętnie oprowadzę panów — skłonił się zarządzający. — Zaczniemy od tyłu — wskazał na trzecią ubikację sklepową i recytował:

— Tam są wyroby koszykarskie i bambusowe, kosze, wózki, fotele, kanapy, tualety bambusowe, wogóle urządzenia do altan i werand. A tu, jak panowie widzicie, są majoliki, dalej rzeźby z drzewa, paski krakowskie, pojasy huculskie, krypcie, kapelusze słomkowe, perfumerya... a z frontu widzieli już panowie.

— A tak. Pozwoli mi pan zapalić papierosa? — spytał Roman — może i pan? — podał mu papierosnicę.

— I owszem — a zajrawszy do frontowego skłapu: — niema nikogo. Może panowie usiądą, pogadamy.

Usiedli, a Szczuka ze zwykłą swoją powagą rzekł:

— W tym sklepie, co prawda ładnym, ale widzę tylko przedmioty zbytku.

— Co też pan mówi? — zaśmiał się zarządzający. — Czyż takie pantofle, albo na przykład kurtki sławuckie, burki damskie, serdaki a chociażby te zabawki, które sprowadzamy z Warszawy, czyż nie są do codziennego użytku?

— Jak dla kogo. Może się nie rozumiemy — tłumaczył Szczuka — ale idzie mi o takie na przykład perkale kolorowe, barchany, materyały na spodnice dla bab, na kaftany dla chłopów. Buty dobre, czapki, pończochy, trzewiki, chustki ciepłe, wstążki, wogóle, co bez różnicy stanu każdemu jest potrzebne w lepszym lub gorszym gatunku.

Twarz zarządzającego przybrała wyraz zimny i odparł tonem grzecznym lecz stanowczym:

— Tu, panie łaskawy, jest Bazar krajowy i za udzieloną nam zapomogę z Wydziału krajowego mamy obowiązek trzymać w sklepie tylko towary wyrobu krajowego. Jeśli pan chce dostać takich rzeczy, jak te, które pan wyliczył, na to ma pan inne sklepy.

— Bardzo dobrze — uśmiechnął się Roman — zasada jest zasada. Przypuszczam, że tutejsi szewcy wyrabiają obuwie i ono jest niewątpliwie wyrobem krajowym, a u panów niema.

— A, szewcy. Każdy porządniejszy z nich ma przy swym warsztacie skład swego obuwia. Tu niepotrzebnie zabierałoby ono miejsce. Ale mamy krypcie, to nasza specyalność, dużo tego się rozchodzi. Zresztą, my obsługujemy tylko lepszą publiczność. I u nas, w przemyśle, muszę to powiedzieć panom, pustka. Niema sposobu konkurować z Niemcami.

Porozmawiawszy jeszcze chwil kilka z zarządzającym opuścili sklep.

— Jesteśmy niepoprawni — rzekł z ironią Szczuka. — Handlujemy tylko estetycznymi przedmiotami, a takie drobnostki jak koszule, spodnice, pończochy, buty, zostawiamy podłym Niemcom.

— No, tak źle nie jest — odezwał się Roman — muszą przecież być wyroby krajowe po innych sklepach, tylko toną w zalewach zagranicznych.

— Dobrze, pójdziemy.

Przechodząc przez Sukiennice pomiędzy kramami, dostrzegli sklepik z barwnymi chustkami, krakowskimi wstążkami, jaskrawymi, a handlarka, chwytając Romana za rękaw, zawołała:

— Sliczne rzeczy, *echt* krakowskie, może pan kupi dla dziewczuchy?

(Ciąg dalszy nastąpi.)